NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 98·80 Marek, Półrocznie 199·60 Mk. Rocznie 399·20 Mrk. Ameryka: 7 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 8 Marek.

Rok XVII. Kraków, 16. października 1920. Nr 42.

Po rokowaniach pokojowych w Rydze



Przewodniczący delegacyi pokojowych Dąbski (na prawo) **Joffe** (na lewo) **podczas poufnej narady.**

Po rokowaniach pokojowych w Rydze.

(Do illustracyi tytułowej).

Sprawa konfliktu polsko-rosyjskiego zdaje się zbliżać do pomyślnego rozwiązania.

W dniu 6 października b. r. obaj przewodniczący delegacyi pokojowych, Dąbski i Joffe, podpisali deklaracyę, stwierdzającą zasadniczą zgodę obu stron na przedłożone wzajemne warunki rozejmowe i postanawiającą, podpisanie protokołu rozejmowego oraz preliminaryów pokojowych ma nastąpić w dniu 8 października, o godzinie siódmej wieczorem.

Dyplomacya polska odniosła pełny sukces, delegaci rosyjscy przyjęli wszystkie postawione z naszej strony warunki. Podpisanie protokołu rozejmowego spóźniło się nieco, z powodów trudności technicznych, co jednak nie wpłynie na dalsze rokowania, które mają być prowadzone w Pradze albo Wiedniu i muszą doprowadzić do zawarcia pokoju, którego obie walczące strony potrzebują, specyalnie zaś sowiecka Rosya. W ostatnich dniach znalazła się ona w takich warunkach, że musiała się okazać skłonną do najdalej nawet idących ustępstw.

Początkowo, nauczeni doświadczeniem poprzedniem, dość sceptycznie zapatrywaliśmy się na wynik rosyjskich rokowań. Żądania sowieckie, choć skromniejsze nieco od postawionych w Mińsku, były przecież stale zbyt wygórowane, a z całego postępowania delegacyi rosyjskiej i jej przewodniczącego było widocznem, że rząd sowiecki nie stracił nadziei, iż uda mu się podyktować Polsce swe warunki, może nawet... w Warszawie. Tem się też tłómaczy przewlekanie obrad przez Joffego i stawianie coraz to nowych pretekstów, gdy natomiast delegacya polska od pierwszej chwili objawiła szczerą chęć zawarcia sprawiedliwego pokoju bez krzywdy i ujmy dla strony pierwszej. Zwycięski pochód naszych wojsk ku Wschodowi, przechylił szalę na naszą korzyść i zmusił rząd sowiecki do umiarkowania. Przyczyniło się do tego także wewnętrzne położenie w Rosyi, gdzie na całym prawie obszarze wybuchła antibolszewicka rewolucya.

Jak obecna sytuacya polityczna się przedstawia, zawarcie pokoju jest zatem kwestyą najbliższej przyszłości, choć niespodzianki ze strony rosyjskiej nie są bynajmniej wykluczone.

W stolicy Łotwy położono zatem podwaliny wielkiego dzieła pokojowego, mogącego być słusznie uważanem za zapowiedź powrotu normalnych stosunków. Oczy całego świata skierowane były przez kilka tygodni na Rygę, a uwaga skupiała się na tak zwanym „Domu czarnogłowych", gdzie obradowała konferencya, obie delegacye i poszczególne komisye.

Dom ten, własność tamtejszego stowarzyszenia kupieckiego należy do najcenniejszych zabytków historycznych miasta Rygi, posiada swą wiekową tradycyę i wiąże się ściśle z dziejami tego tak bogatego i znanego niegdyś miasta. Średniowieczny jego charakter i powaga, bijąca z jego murów, dodawały powagi i obradom konferencyi, która w dziejach światowej wojny zająć może jedną z najważniejszych kart, przynosząc Polsce i Rosyi, a za niemi całemu światu, raz wreszcie tak upragniony i pożądany pokój.

Nasza illustracya tytułowa, sporządzona według szkicu, nadesłanego nam przez naszego korespondenta, przedstawia obu przewodniczących delegacyi pokojowych, Dąbskiego i Joffego, podczas poufnej narady w jednej ze sal „Domu czarnogłowych".

„Stanęli w potrzebie".

Gdy nawała bolszewicka zagroziła Polsce, zwróciła się Rada Obrony Państwa do narodu, aby pospieszył z pomocą. W poszczególnych dzielnicach potworzyły się komitety Obrony Państwa, które rozpoczęły energiczną pracę tworzenia armii ochotniczej i zbierania funduszów na jej cele. Apel ten odniósł pożądany skutek, pospieszyli na wezwanie młodzi i starzy, posypały się hojnie ofiary. W krótkim czasie stanęła do boju potężna armia, która przyczyniła się wydatnie do oczyszczenia kraju z hord najeźdźczych.

Krakowski Komitet O P. rozwinął też skuteczną działalność i może sobie śmiało powiedzieć, że wywiązał się należycie ze zadania.

Aby upamiętnić te ciężkie chwile, w których ludność miasta naszego złożyła tyle dowodów obywatelskiego poczucia, postanowił Komitet utworzyć honorową odznakę, przyznaną wszystkim tym, którzy wówczas spełnili swe obowiązki. Rozpisano konkurs, którego laureatem był prof. Jan Raszka, twórca odznaki z dewizą: „Stanęli w potrzebie".

Uroczyste wręczenie tej odznaki wszystkim tym, którzy wówczas posłuszni wezwaniu, stanęli do apelu, odbyło się w Krakowie w dniu 10 października b. r. na boisku „Sokoła". Przewodniczący Sekcyi I p. Stanisław Rymar, przemówił w gorących słowach do prezesa K. O. P. Włodzimierza



„Stanęli w potrzebie": Prezes oddziału krakowskiego K. O P. (X) wręcza odznaki honorowe ochotnikom którzy w chwili potrzeby stanęli na obronę Państwa.

Tetmajera, wręczając mu pierwszemu odznakę. Prezes w odpowiedzi zwrócił się do całego zgromadzenia z gorącym apelem, aby tak młodzież jak i obywatele wszędzie i zawsze stawali na stanowisku państwowem. Wywodził, że jest to najważniejsze zadanie bieżącej chwili, a bardzo trudne do wpojenia, gdyż przez 130 lat przywykliśmy do uprawiania buntu wobec wrogich i obcych państw. Tak jak ten bunt był niegdyś ostoją naszego uświadomienia narodowego tak dziś lojalność, życzliwość, poparcie i ukochanie tego nowo budującego się Państwa Polskiego jest rękojmią naszej przyszłości. Zakończył swe przemówienie okrzykiem na cześć i pomyślność Rzeczypospolitej, na cześć krwawiącej się obywatelskiej Armii i na cześć Naczelnika Państwa! Poczem przypiął zaszczytne odznaki: drowi Stanisławowi Wajnerowi, sekretarzowi jeneralnemu Komitetu, Stanisławowi Rymarowi, radcy Kowalskiemu, X. prałatowi Masnemu, szefowi sztabu, pułkownikowi Tinzowi i pułkownikowi wojsk francuskich Kozłowskiemu, radcy Skrzetuskiemu, drowi Skulskiemu i innym członkom Komitetu. Następnie przewodniczący sekcyi wręczyli odznakę uprawnionym do jej noszenia.

W niniejszym numerze zamieszczamy fotografię, przedstawiającą wręczenie odznak przez prezesa Tetmajera, oraz reprodukcyę artystycznie wykonanej odznaki.

Poświęcenie sztandaru I. Polskiego Korpusu weteranów wojskowych w Podgórzu.

Pierwszy Polski Korpus weteranów wojskowych w Podgórzu jest w samej rzeczy pierwszym, który z pod czarno-żółtych sztandarów przeszedł pod znaki amarantowo-białe. Jest to zrzeszenie wysłużonych żołnierzy, instytucya nawskróś humanitarna, świadcząca wiele dobrego dla swych członków, znajdujących w niej pomoc moralną i materyalną w potrzebie.

Czarny, dwugłowy orzeł ustąpił miejsca białemu, Korpus rozpoczął nową erę, a inauguracyą jej było uroczyste poświęcenie sztandaru, które się odbyło w Podgórzu w kościele parafialnym w dniu 10 października b. r.

Uroczystość poświęcenia, w której wzięli udział: delegat Naczelnika Państwa, jenerał A. Symon, protektor Korpusu jenerał Józef Haller, jenerałowie Piasecki, Latinik, Stiller, Zegadłowicz, Zapałowicz, pułk. Wiktor, delegat Kowalikowski, wiceprezydenci miasta Sare i Rolle, starosta Rawski, naczelnik Sądu podgórskiego Szpunar, prowincyał OO. Bonifratrów Misiak, dr Emilewicz, dr Klimecki, dr Stuhr, prof. Mossoczy, jenerałowa Symonowa i Stillerowa, Selingerowa, Żurowa i inni przedstawiciele obywatelstwa krakowskiego i podgórskiego, rozpoczęła się mszą św., którą w parafialnym kościele podgórskim odprawił delegat Księcia Biskupa krakowskiego, X. kan. Józef Niemczyński. Po nabożeństwie i ceremonii poświęcenia przemówił X. kanonik Niemczyński w podniosłych słowach, wskazując na znaczenie sztandaru i przypominając członkom Korpusu ich zadania i obowiązki.

Nastąpiło wbijanie gwoździ honorowych. Pierwszy wbił imieniem Naczelnika Państwa jen. Symon, po nim kolejno protektor Korpusu jen. Haller, reprezentanci władz rządowych i autonomicznych, związków i instytucyi, między innymi prezes „Sokoła“ podgórskiego prof. Wodzinowski, imieniem krakowskiego Cechu rzeźników i masarzy Antoni Romański, oraz liczne grono rodziców chrzestnych.



„Dzień żołnierza polskiego“ w Krakowie: Igrzyska ludowe urządzone przez Y. M. C. A.

Z kościoła udano się w pochodzie przy dźwiękach orkiestry II pułku strzelców podhalańskich do do gmachu „Sokoła“, gdzie powitał gości uroczystą przemową prezes Wodzinowski, kończąc okrzykiem na cześć Naczelnika Państwa, jenerała Hallera, jeneralicyi i dzielnej armii polskiej.

Z kolei zabrał głos jen. sekretarz I. Pol. Korpusu Wet. wojsk. w Podgórzu Jan Fleischmann. Powitał on przedewszystkiem delegata Naczelnika Państwa jen. Antoniego Symona, protektora jenerała Hallera, resztę jeneralicyi, oraz innych delegatów i gości, przybyłych na tę uroczystość, wy-



Poświęcenie sztandaru I. Polskiego Korpusu weteranów wojskowych w Podgórzu: Uczestnicy uroczystości poświęcenia po zebraniu w „Sokole“ podgórskim z komitetem sztandarowym: Prezes Karol Żur (1), sekr. adm Piotr Godula (2), kontr. Michał Wolny (3), kasyer Antoni Łach (4), sekretarz jener. Jan Fleischmann (5), chorąży Andrzej Rumek (6), człon. Kom. Wiktorya Żurowa (7).

jaśniając cel i zadanie I. Korpusu weteranów wojsk. w Podgórzu. Jenerał Haller w gorących słowach podziękował za powitanie, oraz wezwał członków Polsk. Korpusu Weteranów do bratniej miłości, przyczem życzył Korpusowi jaknajlepszego rozwoju



„Dzień żołnierza polskiego" w Krakowie: Ogólny widok Placu Gwardyi Narodowej podczas kiermaszu.

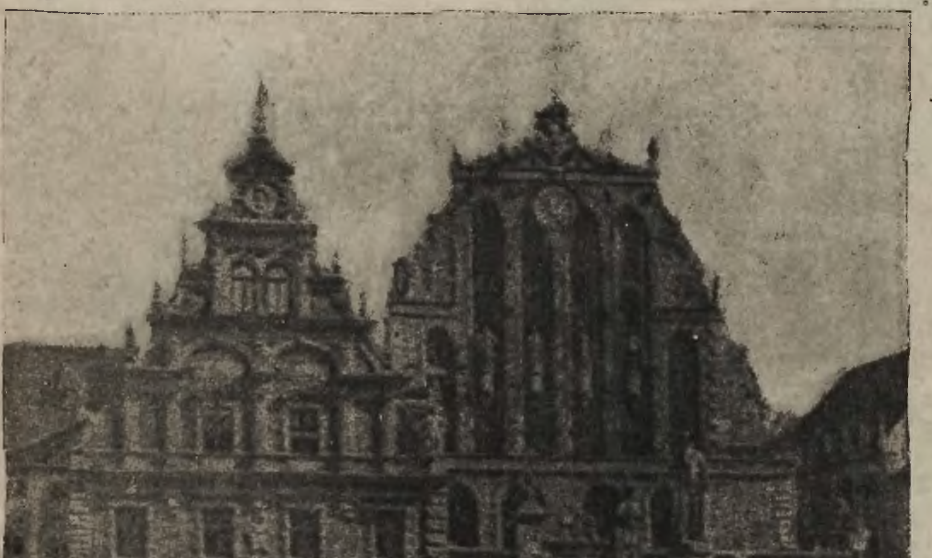
Do tych życzeń przyłączył się delegat Naczelnika Państwa jenerał Symon, który odczytał depeszę z Belwederu, upoważniającą go do zastąpienia Naczelnika Państwa do wbicia gwoździa honorowego, oraz złożenia 20 000 marek na cele Korpusu.

Po oficjalnej części uroczystości odbyło się w wielkiej sali „Sokoła" wśród nadzwyczaj serdecznego nastroju, zebranie towarzyskie członków Korpusu i zaproszonych gości. W licznie wygłoszonych przemówieniach o wybitnie patryotycznym charakterze składano Korpusowi serdeczne życzenia, toastowano na cześć wybitnych osobistości i podnoszono z naciskiem konieczność pracy narodowej wspólnemi siłami.

W ślady Korpusu podgórskiego powinny pójść rychło i inne pokrewne stowarzyszenia.

„Dzień żołnierza polskiego" w Krakowie.

Słyszy się i to nawet aż nazbyt często, że do urządzania różnego rodzaju festynów, uroczystości, obchodów itd. zabierają się u nas komitety, których członkowie nie dorośli do zadań, jakie na się przyjęli, lub na nich włożono.



Po rokowaniach pokojowych w Rydze: Historyczny „Dom czarnogłowych", miejsce obrad konferencyi pokojowej polsko-rosyjskiej.

Jest w tem, trzeba przyznać, wiele racyi, ale też musi się stwierdzić, że niema reguły bez wyjątku, są bowiem widocznie u nas ludzie, którzy potrafią się w zupełności i ku ogólnemu uznaniu wywiązać z tego, co na siebie przyjęli. Być może, że pomagał im ktoś obcy, ale faktem jest, że przedsięwzięcie się udało i że skutkiem tego zasłużyli sobie na pochwałę.

To właśnie można powiedzieć o komitecie, zajmującym się urządzeniem „Dnia żołnierza polskiego" w Krakowie. Takiej, w najpełniejszem tego słowa znaczeniu zabawy, jaką był kiermasz w dniu 10. października b. r., Kraków dotąd nie widział. Miało się wrażenie, że miasto nasze i jego mieszkańcy na wiadomość o rychłem już zawarciu pokoju zrzucili ze siebie „wojenną" skórę i rozpoczęli żyć nowem życiem, zupełnie odmiennem od tego, jakie im przyszło pędzić przez lat z górą sześć... Porównując: Kraków choćby z przed miesiąca z tym, jaki się nam ukazał w to niedzielne popołudnie, nikt nawet nie przypuściłby, że jest to to samo miasto i ci sami ludzie, zmaltretowani i zniechęceni wojennemi przejściami.

Już sam wybór miejsca był dla Krakowa nowością. Urządzono kiermasz, odstępując od szablonu, nie w oddalonym Parku dra Jordana lub Krakowskim, ale w samem centrum miasta, bo na Placu Gwardyi Narodowej (Szczepańskim) i przylegających doń częściach plantacyi, od ulicy Szewskiej począwszy, do hotelu Krakowskiego.

Na tej przestrzeni roiło się od tysięcy ludzi, należących do wszystkich warstw naszego społeczeństwa, którzy chcieli poprzeć szlachetny cel, dochód bowiem przeznaczony był na zakupno podarków dla naszego dzielnego żołnierza, walczącego na froncie. Że było wesoło i swobodnie, świadczy fakt, iż przy dźwiękach muzyki wojskowej odbywały się wesołe pląsy pod gołem niebem.

Na plantacyach i na Placu Gwardyi Narodowej wzniesiono liczne kioski, w których mieściły się bufety, sprzedaż losów na loteryę fantową, biura zgłoszeń do Białego i Czerwonego Krzyża itd. Przygrywały trzy orkiestry wojskowe. Główną atrakcyę festynu stanowiła loterya fantowa z losami po 5 marek, na które można było wygrać między innemi maszynę do pisania, materyały na ubrania, bluzki itd. Na nader urozmaicony program złożyły się nadto: zabawy i igrzyska ludowe, urządzone przez Y. M. C. A. oraz kabaret i popis towarzystwa śpiewackiego „Echo".

Do późnego wieczora rojno i gwarno było na całym terenie, przeznaczonym na kiermasz, zwłaszcza, że dopisała w zupełności pogoda.



Stanęli w potrzebie. Odznaka honorowa pomysłu prof. Jana Raszki, przeznaczona dla ochotników — obrońców Ojczyzny.

Komitet, urządzający „Dzień żołnierza polskiego", zrehabilitował nasze poprzednie komitety.

Na gruzach byłej Turcyi.

(Do illustracyi na str. 11).

Państwo ottomańskie, do niedawna jeszcze mocarstwo, należy już do przeszłości. „Chory człowiek z nad Bosforu", jak się dawniej o Turcyi wyrażano, dzięki skutecznej poradzie europejskich „lekarzy" przeniósł się do wieczności, a ostatecznym ciosem było dlań przyłączenie się w czasie wojny światowej do mocarstw centralnych. Ich klęska była zawsze klęską Turcyi.

Upadek Turcyi nie może być przecież uważany za definitywne załatwienie kwestyi wschodniej. Te raz dopiero może ona wystąpić na światło dzienne w całej pełni i stać się powodem niejednego politycznego konfliktu między państwami koalicyjnemi, mającemi tam bardzo rozbieżne interesy.

Ludy wschodnie chciałyby też skorzystać ze sposobności i zrzucić ze siebie europejską przewagę, a sowiecki rząd rosyjski podsyca stale antikoalicyjny ruch w świecie muzułmańskim, aby w ten sposób Anglii i Turcyi przysporzyć kłopotu. Wyrazem tego był ostatni kongres w Baku, na którym obwołano Enver paszę królem Kurdystanu, a tysiąc ośmset szeików arabskich, perskich i indyjskich proklamowało wojnę świętą przeciw Koalicyi.

Enver pasza, wybitny germanofil, chroniąc się przed Koalicyą, która żądała jego wydania, siedział dotąd w Berlinie, ostatnio zaś przesiedlił się do Rosyi i tu wszedł w stosunki z przedstawicielami świata muzułmańskiego.

Koalicya stara się tymczasem o wznowienie i ustalenie swych wpływów na Wschodzie, ale jej członkowie nie postępują zgodnie. Każdy działa na swą rękę, w imię swych interesów i na tem wychodzą jak najgorzej.

W Europie, dzięki wojnie, panuje chaos, jeszcze większy jest on w Azyi, której ludy pragnęłyby też stanowić same o swym losie, a koalicyjni protektorowie nie chcą się na to zgodzić, uważając Wschód za teren podległy wyłącznie ich wpływom.

Ostatnio Francya ogłosiła niezależność państwa Wielkiego Libanu z stolicą w Bejrucie, ale naturalnie pod swym protektoratem. Uroczystej proklamacyi dokonał w dniu 1 września francuski jenerał Gouraud w Bejrucie, wobec zgromadzonych licznie miejscowych notablów, którzy, jak wspomina prasa francuska, bez różnicy narodowości i wyznania, wyrażali swe gorące sympatye dla swej protektorki. Czy jednak szczere, o tem oni sami wiedzą najlepiej.

Flaga nowego państwa ma kolory francuskie, u spodu w białym polu widnieje cedr libański.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

13

I.

— Tego nie mogę ci powiedzieć. Z ręki, z ramienia dowiedzieć się możemy różnych rzeczy, ale nie wszystkiego. Kobieta ta musi być oprócz tego bogata, bo na ręce jej nie widać żadnych znaków pracy, nawet domowego szycia. Jest to ręka kobiety, wychowanej w zbytkach i bezczynności.

— Ah! — szepnął Robert, słuchający chciwie każdego słowa.

— Ręka ta — ciągnął dalej profesor, jest doskonale zakonserwowana. Fakt ten najwięcej wzbudził moją ciekawość. Z tego, co wiem dotąd, tajemnice konserwowania ciała ludzkiego, są jeszcze niedoskonałe. Wszystkie balsamowania używane dotąd, są mniej lub więcej niedostateczne i niekompletne. Taki preparat, który zachowuje ciału całą jego świeżość, nie uszkadzając form i linii — nie egzystuje wcale.

— A jednak — zawołał Robert, patrząc tryumfalnie na rękę leżącą w skrzyni.

— A jednak — podjął uczony — egzystuje on, skoro mamy przed oczami dowód tego prawie żyjący rzec by można. Jest to przypadek bardzo ciekawy, moje dziecko. Leży w tem pewna tajemnica.

— Tajemnica?

— Tak. Sposób, w jaki ta ręka spreparowana została, nieznany mi jest zupełnie.

— Nieznany? Panie! panie profesorze! — zawołał Robert, przejęty szczerem zdziwieniem.

— Próbowałem zbadać zapomocą jakiego płynu ręka ta tak doskonale zakonserwować się dała. Oh patrz, tutaj, pod tą bransoletą uczyniłem maleńkie nakłócie i wyszła z niego...

— Krew! — zawołał Robert.

— Nie! Nie krew! — odpowiedział spokojnie profesor, lecz parę kropel różowego płynu. Może być, że i krew zmieszana z czemś innem. Chemicznymi środkami zbadałem ten płyn, lecz rezultat okazał się bardzo niepewny.

— Niestety — kończył uczony — ręka ta zachowuje głęboką tajemnicę w swem pozornem życiu.

— I ta tajemnica przez was, profesorze, zbadana być nie może?

— Może jutro, a może za dni ośm zbadam ją. Mało rzeczy oprzeć się może analizie, ale potrzeba mieć trochę cierpliwości. Raz, przypominam sobie, słyszałem jak mówiono o kimś, który wynalazł cudowny sposób konserwowania ciała.

— Kto to był? Nazwisko jego?

— Otóż to, nazwiska nie pamiętam... ale być może Robercie... być może, że w przyszłości dowiemy się o niem.

— Czy pan co odkrył jeszcze, profesorze?

— Odchyliłem lekko skórę przy nacięciu. Uczynione ono zostało z dokładnością najlepszego chirurga, fachowo, pewnie i zimno.

— Boże mój! — zawołał Robert, drząc całem ciałem.

— Tak! to straszne! — mówił dalej profesor — lecz jest w tem jeszcze rzecz straszniejsza.

— Co takiego? co?

— Rzecz, którą tylko długa i baczna obserwacya wykazać mi mogła. Powiem ci tylko, że dla tej przyczyny tak długo badałem tę rękę — otrzymałem też rezultat okropny.

— Oh! profesorze, przez litość, mówcie!

— Zważywszy, iż jak powiedziałem nacięcie zostało dokonane z fachową dokładnością, zdawać się mogło na pierwszy rzut oka, że ramię to zostało odcięte trupowi.

— Oh! — westchnął cicho Robert, który czuł, że siły zaczynają odchodzić go zupełnie.

— Anatomiści tylko w ten sposób pracują mój kochany. Ale zazwyczaj krają bez wielkiego zastanawiania się i ostrożności, brutalnie, szybko, podczas kiedy to nacięcie tak artystycznie dokonanem zostało! Taką operacyę uczynić można jedynie na trupie, który nie reaguje, nie czuje, nie drga...

— A więc? — szepnął Robert, wpatrzony z osłupieniem w twarz profesora.

— A więc ta ręka odcięta została osobie żyjącej! — wyrzekł dobitnym, podniesionym głosem Silvio Amanti, wychodząc poraz pierwszy z zwyczajnej swojej równowagi i spokoju.

— Byłem tego pewny — rzucił Robert uspokojony nagle.

— Dlaczego? dla jakiej przyczyny?

— Niewiem, ale czułem, że tak być musiało — odparł Robert.

— Przyczynę tę ja znalazłem — jest ona bardzo subtelna, ale prawdziwa. Tak, ta kobieta żyła kiedy jej rękę odcinano.

— Ale przyczyna? przyczyna?

— Leży w zabarwieniu krwi, w elastyczności muskułów, o nieuchwytnych prawie innych jeszcze znakach. Ale jest jeszcze coś innego.



— A więc ta ręka odciętą została osobie żyjącej! — wyrzekł dobitnym, podniesionym głosem Silvio Amanti, wychodząc poraz pierwszy z zwyczajnej swojej równowagi i spokoju.

— Co takiego jeszcze!

— Ta kobieta, kiedy dokonywano na niej okropnej operacyi, była jednak nieprzytomną i bezwładną — uśpioną zapewne chloroformem, lub też pogrążona w śnie kataleptycznym.

— Mój Boże!

— Tak było z pewnością, inaczej nie byłaby miała sił do zniesienia tak silnego bolu. Pozatem ramię byłoby się skurczyło, ściągnęło.

— Co za podłość!

— Kto wie? Może zbrodnia!

— Zbrodnia?

— Tak przypuszczam. Człowiek, który to uczynił jest zbrodniarzem i powinien być oddany w ręce policyi.

— I jaką karę otrzymałby wówczas?

— Byłby zasądzony i skazany, bo władze odnalazłyby ciało.

— Jakie ciało?

— Ciało kobiety operowanej.

— Czy sądzi pan, że ta kobieta zamordowaną została?

— Oczywiście — odparł profesor spokojnie. — Ona z tego umrzeć musiała.

— Wierzy pan w to?

— Wierzę, bo tak być musiało.

— Koniecznie.

— Posłuchaj mnie Robercie. Bardzo ciężko jest przeżyć podobną operacyę, kiedy ramię jest ranione lub złamane — niemożliwe zaś jeżeli ramię jest zupełnie zdrowe. Noga może być amputowana w ten sposób bez niebezpieczeństwa, ale ramię prawie nigdy!

Robert Alimena raz poraz spoglądał to na rękę uciętą, to na profesora i w oczach jego migotał jakiś obłędny, rozpaczny płomień.

— Zrozumiesz więc — ciągnął dalej Amanti z powagą człowieka znającego dobrze przedmiot, o którym mówi — że w takim wypadku krwawienie następuje silne i niebezpieczne. Zresztą widzę tu jeszcze inny dowód śmierci.

— Jeszcze inny dowód?

— Przekrój ramienia, pokryty jest i zamknięty kawałkiem skóry, pochodzącej z tego rannego ciała. Skąd ta skóra wzięta została? Widocznem jest więc, że ciało to oddane było całkowicie do dyspozycyi operatora. Śmierć zatem musiała nadejść po z operowaniu. Nie dziwiłbym się, gdyby tu chodziło o kobietę, pokrajaną w kawałki.

— Zatem ów operator posiadać może jeszcze i inne kawałki ciała.

— Tak — odparł z całem przekonaniem Amanti.

Umilkli. Robert uspokajał się powoli. Po długiej chwili milczenia — zapytał nagle, patrząc bystro w oczy profesora.

— Więc cóż mam uczynić?

— Z czem?

— Z tą ręką?

— Oddać, jeżeli to możliwe właścicielowi.

— Nieodnaleziony jeszcze.

— Szukałeś go?

— Kazałem umieścić ogłoszenia w dziennikach.

— I nic?

— Nic. To jest prawie nic.

— Co chcesz powiedzieć?

— Są pewne poszlaki: osoby jakieś nieznane, śledzą, chodzą za mną, szpiegują, inne znowu przemocą chcą wcisnąć się do mojego mieszkania. Jednem słowem czuję jakąś groźbę ukrytą, otaczającą mnie wokoło jak sieć pajęczą.

— Czy to nie jest objaw twojej imaginacyi?

— Nie. Patrzę na wszystko z zimną krwią.

— A więc rzeczywiście rzecz jest bardzo poważna. Postaraj się zatem oddać tę rękę jaknajprędzej — wyrzekł Amanti, ściągając brwi z niezadowoleniem.

— Starałem się już o to, ale jak już mówiłem bez skutku.

— Najwidoczniej chodzi tu o zbrodnię — szepnął profesor z zamyśleniem. Ten, do którego ta ręka należy zrozpaczony musi być jej stratą, lecz nie chce czynić poszukiwań ze swojej strony, z obawy wykrycia.

— Jestem pewnym, że gotów byłby popełnić drugą zbrodnię, aby tylko odzyskać tę rękę — rzekł Robert głuchym głosem.

Umilkli znowu. Amanti wsparł głowę na ręce i zamyślił się głęboko.

— A gdybyś się zwrócił do policyi? — zapytał po jakimś czasie.

— Spotkałbym się napewno z nieprzyjemnościami jakiemi — zauważył Robert niechętnie.

— Możeby nawet nie uwierzyli w twoje opowiadanie.

— Jest tak nieprawdopodobne — nieprawdaż? Stałam się ofiarą fatalności!

— Ofiarą? Miejmy nadzieję, że nie. Musimy znaleść jakieś wyjście, Robercie.

— Jest tylko jedno!

— Jakie? Odnaleść garbuska o zielonych oczach?

— Nie! Odnaleść kobietę o uciętej ręce!

— Odnaleść ją? Gdzie? Na cmentarzu jakim? Czy chcesz zburzyć tysiące grobów, aby zadość uczynić twojemu pragnieniu?

— Nie potrzebuję wcale uciekać się do tego — odparł Robert Alimena spokojnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

16

I.

— Bo też nie mamy miejsce w kuchni — oburzyła się Kazia. Kucharka jest od tego. One nie lubią widać, jak im do garnków zaglądać. Niechże więc mama stara się oduczyć dawnych swoich nawyczek, bo one nikomu honoru nie robią.

— Co ty znowu gadasz? — obruszyła się Gawlikowa. — To ja nawet nie mam wiedzieć, co się w kuchni dzieje?

— Mama ma zadysponować wszystko na cały dzień i koniec, a nie poufalać się z taką małpą, bo potem za nic mamę mieć będzie. Jak mama co potrzebuje od niej, to na to są dzwonki w całem mieszkaniu. Przywołać ją tu do jadalni, wydać rozkazy i nie wdawać się w żadne rozmowy i konfidencye. Już ja mamie dobrze radzę. Dosyć się naczytałam o bogatych domach w francuskich książkach i wiem, jak prawdziwe panie ze służbą się obchodzą.

— Masz słuszność Kaziu, masz zupełną słuszność — wtrącił się Gawlik, zaciągając się dymem doskonałego cygara. — Ja także już niejedno poznałem, odkąd po kawiarniach i pierwszorzędnych restauracyach chodzę. Trzeba widzieć, jak taki pan musztruje kelnera, co mu usługuje. Spojrzy tylko na niego, a ten skacze koło stolika jak pajac na nitce. I „całuję rączki jaśniemu panu“ powie i „padam do nóżek“, a jakże! Co tu gadać! Jesteśmy sami, to możemy otwarcie pogadać. Nie nawykliśmy do obchodzenia się ze służbą, to się od drugich uczyć musimy.

— Mama toby zaraz pokumała się z taką Katarzyną i popijała z nią herbatę z arakiem — skrzywiła się Kazia. — A ona mądrzejsza od mamy i wie, że co pani, to nie sługa i sama nie chce, żeby mama do kuchni swój nos wścibiała.

Mogłabyś też inaczej do matki gadać — obraziła się Gawlikowa.

— A bo też mamie ciągle się jeszcze zdaje, że bułki i pieprz sprzedaje w swoim sklepiku. Niech już mama raz o tem zapomni. To się dzięki Bogu już nie wróci nigdy.

— Tak, tak, my już inni ludzie teraz — wyrzekł z dumą Gawlik, patrząc z upodobaniem po bogato urządzonem mieszkaniu. — Dawniej to ja zginać się w pas musiałem i kłaniać i nadskakiwać, a teraz to do mnie pierwsi panowie podchodzą i za rękę ściskają.

— A komu to zawdzięczasz? komu, żeby nie ja, tobyś dalej mydlił gęby tym panom — rzuciła gniewnie Gawlikowa.

— Słusznie, słusznie — przestraszył się Gawlik zirytowania żony. — Ja dobrze wiem, moja duszko, że z ciebie mądra kobieta i dziś rozumiem, że dobrze dla nas wszystkich chciałaś. Ale tak jak powiadam, my się teraz niejednego uczyć od drugich musimy. Żyliśmy w takich warunkach, że zchamieliśmy trochę, a teraz nam się okrzesać trzeba.

— Okrzesać! okrzesać! — mruknęła ironicznie Gawlikowa. — Mów o sobie. Moja babka szlachcianką była i domnie żadne chamstwo przyrosnąć nie mogło. Zresztą co ja mam się uczyć od głupszych od siebie. Pieniądz wszystkiego nauczy i każdy się przed nim ugnie aż miło. Eh! żebym się tak nie bała, że ta Kaśka krzyku na całą kamienicę narobi — rozsierdziła się już na dobre — tobym ją tak po swojemu pogłaskała po buzi i zarazby innego humoru nabrała.

— Bój się Boga duszko! — przeraził się już na dobre Gawlik. Przecież teraz w żaden sposób takich awantur robić nie wypada!

— To się mam pozwalać okradać takiej małpie — co? i jeszcze słodko się do niej uśmiechać? Ja płacę, to mam prawo żądać, żeby wszystko było w porządku.

— Ależ moja mamo — perswadowała Kazia. — Niechże mama zrozumie, że wszystkie panie zdaleka się od służby trzymają i po piętach im nie depczą. No więc cóż, że tam trochę zmarnuje, albo wyniesie trochę tego jedzenia. Widać taki już zwyczaj u nich, a zresztą czy to nas zubożeje? Możemy sobie przecież na to pozwolić. Czy mama chce, żeby poleciała na bajki do stróżki i rozpowiadała, a rachujemy się z każdym groszem jak żydzi i że nie umiemy się ze służbą obchodzić?

— Bośmy jej nigdy nie mieli — dorzucił Gawlik, który lepiej od żony potrafił się zastosować do nowej sytuacyi. — Tak, tak, moja duszko. Z Katarzyną trzeba grzecznie ładnie, zdaleka się od niej trzyma i na ręce jej nie patrzeć. We wielkich domach wiadomo, że służba z państwem się dzieli. To tak już być musi.

— Ale nie szkoda to tyle zmarnowanego jedzenia — powracała do swojego Gawlikowa.

Pomimo dzisiejszego dobrobytu i zamożności zapomnieć nie mogła, że niedawno jeszcze drżeć musiała o garstkę mąki lub kaszy, liczyć nieledwie ziarnka kawy, przeznaczone na śniadanie. I dziś, kiedy nareszcie dorwała się do tej obfitości wszystkiego, radaby nie zmarnować ani kruszyny i żal ją przejmował, że jakaś obca kobieta, rządząca po swojemu w kuchni, ma prawo rozporządzać jej własnością.

Ale trudno! Widocznie tak już pozostać musi. Kazia wie lepiej, bo przecież tyle już różnych książek wyczytała, więc pojmuje, jak się to dzieje w wielkich, dostatnich domach. Postanowiła więc zapanować nad sobą i oczy przymykać na kaprysy i ironiczne spojrzenia kucharki, choć w głębi duszy złość ją nurtowała głucha i rozdrażnienie, że po swojemu do całej tej sprawy zabrać się nie może.

Zaraz nazajutrz, ubrawszy się w nowy, czarny kostyum i kapelusz z piórami od najlepszej modniarki, Gawlikowa pyszna, dumna, wybrała się do biur w poszukiwaniu za lokajem.



Zaraz nazajutrz, ubrawszy się w nowy, czarny kostyum i kapelusz z piórami od najlepszej modniarki, Gawlikowa pyszna, dumna, wybrała się do biur w poszukiwaniu za lokajem.

VI.

Dzień wielkiego przyjęcia u Gawlików zbliżał się. Już nic nie stawało na przeszkodzie tej wymarzonej uroczystości. Nowo przyjęty służący stał się nieocenionym nabytkiem. Cichy, spokojny i poważny, przesuwał się dyskretnie jak cień po pokojach, dbając z drobiazgowem staraniem o czystość każdego sprzętu i wzorowy ład całego mieszkania. Gawlikowa odetchnęła z ulgą. Zrażona niepowodzeniem swojem przy kucharce, obawiała się skrycie nowych nieporozumień i kompromitacyi, tymczasem wszystko układało się najlepiej.

Franciszek o nic nie pytał, nie czekał rozkazów, tylko sam wypełniał wszystkie swoje czynności jak dobrze funkcyonujący aparat, ująwszy od pierwszego dnia ster domowego programu w ręce.

Czasem tylko, na jakiś jaskrawszy nietakt Gawlikowej, lub rozkaz, w którym przebijała zupełna jej nieświadomość w oryentowaniu się w nowej sytuacyi, pobłażliwo-ironiczny uśmiech przesuwał się po jego wygolonej, sprytnej twarzy i milcząc wymownie, wychodził z pokoju, nie raczywszy dać żadnej odpowiedzi, lub też cichym głosem, patrząc jej prosto w oczy, cedził z poważnym naciskiem w głosie:

— Przepraszam panią, ale ja się do życzenia pani nie mogę zastosować, „u nas“ podobne rzeczy nie są w zwyczaju.

Nieraz krew żywą falą buchnęła do głowy Gawlikowej po takiej nauczce i już miała na ustach ostrą, ordynarną odpowiedź, ale poważne, grzeczne zachowanie się służącego, jego wzrok zdający odgadywać jej myśli, mroziły ją, wywołując u niej pewne onieśmielenie.

— Hrabia! istny hrabia! — mówiła do Kazi. Jak mnie prześwidruje oczami, to języka w gębie zapominam. A nie wiem doprawdy, kiedy on z tem całem sprzątaniem daje sobie radę. Ani go słychać w domu. Mówiła mi Katarzyna, że wieczorami w swoim pokoju książki i gazety czyta.

Jeszcze na kilka dni przed dniem oznaczonym Gawlikowa i Kazia o niczem innem mówić ani myśleć nie mogły, tylko o gotującem się u nich przyjęciu.

Ułożenie „menu“ do kolacyi było dla nich rzeczą wprost tragiczną. Posługując się kilkoma kucharskiemi książkami, mozoliły się długie godziny, chcąc coś stosownego wymyślić.

W końcu postanowiły zawezwać do narady Olearczykową, lecz kiedy i to nie pomogło i narada zakończyła się kłótnią, bo każda chciała się okazać mądrzejszą od drugiej, Gawlikowa udała się do męża o pomoc. Ale i doświadczenie i cały rozum Gawlika okazał się w tym kierunku niedostateczny.

Rozdrażnieni, zniechęceni, patrzeli na siebie bezradnie, nie wiedząc, jak wybrnąć z tej sytuacyi, kiedy Gawlikowi przyszła nagle genialna myśl do głowy.

— Słuchajno, duszko, — rzekł, przerywając długie, niemiłe milczenie — a może żeby tak zapytać Franciszka? On nam napewno coś doradzi, bo przecież dla niego takie kolacye nie mogą być nowością.

— Bój się Boga! — zawołała Gawlikowa, załamując ręce. — Własnego lokaja radzić się będę! Co on sobie o nas pomyśli!

— Trudno moja kochana, coś z tem przecież zrobić trzeba. Powiadam ci, to wcale nie głupi człowiek. Rano, jak mi przynosi śniadanie, to i o polityce ze mną pogada i doradzi, jaką krawatkę wybrać do ubrania i na niejedno zwróci mi uwagę. Zaraz poznać, że u byle kogo nie służył.

— A no, to go już zawołaj — zdecydowała się choć niechętnie Gawlikowa, upokorzona, że raz jeszcze całą swoją nieświadomość musi wykazać przed służącym.

Narada z Franciszkiem zakończyła się prędkim i dobrym rezultatem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staręzewskiej.

TOM I.

21

— Nie, gdyż nie potrzebujemy nikogo, ale wzbudziłeś we mnie ciekawość i oblałeś zimną woda, ty, kochany nudziarzu.

W jej głosie znać było ukryty zły humor, lecz kiedy podniosła do twarzy puszek, jej oczy i usta się uśmiechały. Nigel oparł rękę na stole.

— Ruby — rzekł.

— Co takiego?

Wstrzymała się z pudrowaniem.

— Chciałbym, żebyś nie czyniła tego wszystkiego.

— Czego?

— Tego wszystkiego na twarzy. Jesteś piękną. Pragnę, żebyś zostawiła swą twarz taką, jaką jest.

— Pozostawiam przecie, staram się tylko uchronić ją trochę od słońca. Nie chciałbyś, żebym wyglądała, jak jedna z „narodu fellahów“, jak je Ibrahim nazywa. Chciałbyś?

— Pragnę, żebyś zawsze wyglądała tak naturalnie i prosto, jaką jesteś ze mną.

— Mój drogi, kto jest dzisiaj afektowanym? Lecz nie mogę przecież wyglądać, jak kobieta z ludu. Ibrahim byłby zgorszony.

Położyła jednak puszek na stronę.

— Nie ufasz swej piękności — rzekł.

Oparła się o poręcz krzesła i poważnie na niego patrzała, jakby jego uwaga uczyniła na niej silne wrażenie. Poczem spojrzała w lustro i znowu na niego.

— Znajdujesz, że byłoby rozsądnie zaufać jej zupełnie?

— Naturalnie.

Położył swą dłoń na jej ręku.

— Rozkwitasz w Egipcie, lecz tego prawie nie widać, jak wkładasz takie rzeczy na twarz.

Patrzała znowu w lustro, milcząc.

— Czy są dla mnie jakie listy? — rzekła w końcu.

— Jeszcze nie przejrzałem poczty. Rozmawiałem z Barond'em, przybył do swego dehabijah i jedzie w interesach cukrowych do Armaut.

— Oh!

— Przypuszczam, że się zatrzyma tutaj tylko do jutra, lub do pojutra. Zaprosił mnie dzisiaj na swój statek, żebym go obejrzał po południu.

— Powiedziałem, że mu dam znać. Czy mam iść?

— Jeżeli masz ochotę.

— Chciałbym jego statek obejrzeć, ale widzisz — on jest nawpół człowiekiem Wschodu i niewie, że trzeba — ale...

— Nie zaprosił mnie. Po co miał zapraszać? Idź, Nigel, potrzebujesz czasem męskiego towarzystwa, nie można ciągle być przy mnie. Zresztą wkrótce pojedziesz do Fayum, muszę się przyzwyczaić do samotności.

Ścisnął jej rękę.

— Prędko powrócę i zabiorę cię z sobą.

— Lubię to miejsce — rzekła. — Czy są dla mnie listy?

Rozwiązał sznurek i przejrzawszy paczkę, podał jej parę listów.

— A teraz idź i czytaj swoją korespondencyę — rzekła. — Jak jesteś w moim pokoju, nie mogę niczem się zająć, zabierasz całą moją uwagę. Przyjdę za kilka minut.

Pocałował ją i wyszedł.

Kiedy się znalazł w saloniku, nie zaglądając nawet do gazet, położył je na stole. Od kiedy był w Egipcie, nie czytywał dzienników, miał co innego do czynienia. Jak wiele osób, obdarzonych wielką żywotnością usposobienia, zamykał oczy na rzeczy poboczne. Od czasu swego ożenienia, skoncentrował się w uczuciu dla swej żony i we wspólnem z nią pożyciu. Sprawy publiczne go nie obchodziły. Czytywał otrzymane listy i trochę poza tem. Zabrał swą korespondencyę na taras, żeby ją przejrzeć. Rachunki, list od jego rządcy w Elchingham, drugi od agenta w Kairze, i — hullo! list od jego brata Harwich'a.

Nie obiecywał sobie po nim dużo przyjemności, już otrzymał kilka listów od rodziny, nie bardzo radej z jego małżeństwa, co prawda, nie zanudzali go tyle, ile się poprzednio obawiał. Nie oczekiwał, że jego krewni i znajomi będą się zapatrywali jego oczami na Ruby, że będą myśleli o niej z życzliwością i przebaczą przeszłość. Zanadto dobrze znał świat, żeby tem się łudzić. Lecz Harwich już się wypowiedział ze zwykłą sobie swobodą. Nie było widocznej przyczyny, dla której by miał znowu tak prędko pisać.

Nigel rozerwał kopertę, prędko przebiegł oczami, odczytał uważnie po raz drugi, poczem położył list na kolanach, wsunął płócienny kapelusz na oczy i siedział długą chwilę bez ruchu, pogrążony w myślach.

Brat mu oznajmiał, że jego żona, Zoe, obdarzyła go dwojgiem bliźniąt — chłopcami, że dzieci są tęgie i zdrowe — hip! hip! hurra!

Gwałtowna radość Harwich'a była bardzo naturalna i mogła pochodzić z ojcowskiego uczucia, przynoszącego mu zaszczyt, lecz była w niej nuta tryumfu, którą Nigel zrozumiał i która wpłynęła na jego myśli. Harwich był uradowany, że Nigel i jego żona będą pozbawieni sukcesyi po nim i że, o ile na tym świecie można przewidywać, Mrs. Armine nie zostanie już nigdy lady Harwich. Dla siebie samego Nigel nie dbał o to wcale, pomimo, że Harwich był o dziesięć lat od niego starszy, nigdy nie myślał, że może po nim dziedziczyć i kiedy się żenił wiedział, że jego bratowa jest w odmiennym stanie. Wiedział, lecz...... nie powiedział o tem Ruby, nie taił, po prostu nie zdarzyło się jej powiedzieć. Obecnie ton listu Harwich'a nasunął mu pytanie „jak ona to przyjmie?“ Usłyszał jej kroki, przeszła przez pokój i wyszła na taras.

— Nigel, czy śpisz?

— Czy śpię? — rzekł — o tej porze?

Był nienaturalny ton w jego głosie, nuta niedbałości, która była wymuszoną. Zerwał się z krzesła, rozrzucając listy na ziemię.

— Nie czytałeś swych listów, przez ten cały czas?

— Nie — to jest — nie wszystkie — rzekł, schylając się, żeby je podnieść. — Czytałem list mego brata Harwich'a.

— Lorda Harwich? — rzuciła na niego bystre spojrzenie. — Czy złe wiadomości? czy Lord Harwich chory?

— Nie, Ruby.

— Więc cóż?

— Co? Nic. List pełen dobrych nowin — mimowoli oczy jego patrzały na nią badawczo, prawie okrutnie, z powodu niepokoju, który odczuwał.

— Biedny, stary Harwich, czekał tak długo i nareszcie doczekał się czego tak pragnął.

— Czego?

— Dziecka — to jest — dzieci — bliźniąt!

Nastała chwila milczenia, po której Mrs. Armine rzekła z uśmiechem:

— Ach! więc to.

— Tak, Ruby.

— Dziewczynki? Chłopcy? chłopiec i dziewczynka?

— Chłopcy oba.

— Kiedy będziesz pisał, powinszuj im odemnie. A teraz przeczytaj resztę twych listów, pójdę przejść się po ogrodzie. Mówiąc to, otworzyła parasolkę i poszła w stronę Nilu, zatrzymując się przed jakimś kwiatem, biorąc do ręki różę i po powąchaniu puszczając ją obojętnym ruchem.

— Czy to ją dotknęło? U licha! czy to ją dotknęło?

Nie było chmury na jej twarzy, żadnego mimowolnego ruchu niezadowolenia, a jednak w jej niezmąconym pokoju było coś, co go zmroziło. Była tak biegłą w odczytywaniu ludzi, że z pewnością odczuła niepokój w jego sercu, gorące pragnienie być uspokojonym. Gdyby tylko podeszła do niego, dotknęła się jego ręki i rzekła: Drogi mężu, co to nas obchodzi, nie myślałeś przecie nigdy, że pragnęłam zostać w przyszłości lady Harwich? — coś w tym rodzaju, wszystkie jego wątpliwości zniknęłyby od razu, lecz wzięła to za zimno, za prędko urwała rozmowę. Może to była jego wina, może był z nią za powściągliwy, nie powiedział jej wszystkiego co myślał.

— Ruby! Ruby!

Idąc za silnym popędem, podążył za nią i spotkał ją na brzegu Nilu.

— Patrz! — rzekła.

— Co?

— Statek Barondi'ego przywiązany tutaj.

— Tak, wiedziałem o tem; chciał uciec przed gwarem Luksoru.

— Ruby, co ty myślisz o Harwichu i chłopcach?

— Co myślę? — rzekła — jej głos stał się naraz gniewny i twardy wyraz ukazał się w jej jasnych oczach. — Co myślę? o czem mówisz, Nigel?

— Bo widzisz, to czyni wielką różnicę w mojej pozycyi światowej.

I tobie się zdaje, że ja dbam o to! Wiedziałam, że tak będziesz sądził, wiedziałam dobrze, o czem myślałeś na tarasie.

W głosie jej czuć było, że jest zranioną. Dodała jeszcze ze spokojem, pełnym goryczy:

Lecz cóż innego ty, albo kto inny może myśleć o mnie?

— Ruby! — zawołał, próbował ująć jej rękę, lecz mu jej nie dała.

— Nie, Nigel, nie dotykaj się mnie teraz. Ja — jabym ciebie znienawidziła, gdybyś się mnie teraz dotknął. — Twarz jej była zmienioną i łzy stały w oczach.

— Nie potępiam cię ani trochę, — rzekła. — Byłabym szaloną, żeby oczekiwać, aby ktokolwiek, nawet ty — wierzył we mnie po wszystkiem — po wszystkiem, co się stało. Ale to ciężko, czasami strasznie znosić tę nieufność — odwróciła się szybko, żeby odejść.

— Ruby — rzekł serdecznie.

— Nie, nie zostaw mnie samą na chwilę, mówię ci, muszę być samą! — zawołała, kiedy chciał pójść za nią. Zatrzymał się na ścieżce ogrodowej i patrzał na nią, jak wchodziła w głąb domu.

— Bydlę ze mnie! — rzekł do siebie; załamał ręce, w tej chwili nienawidził siebie i wszystkich ludzi; powalić ich na ziemię — tych cyników, niedowiarków, niszczycieli wszystkiego, co dobre i szlachetne.

Mrs. Armine poszła do swego pokoju, zamknęła drzwi i dała folgę burzy namiętności, którę wywołał Nigel swą szczerością, po oznajmieniu nowiny o Harwich'u.

Z przebiegłością, która ją nigdy nie opuszczała, zmusiła wszystkie swoje władze do udawania. Kiedy poznała, że traci panowanie nad sobą, zwróciła swój gniew w stronę, która nie miała dla niej znaczenia, w stronę, która potęgowała uczucie Nigla dla niej w chwili, kiedy go nienawidziła, uczyła go jeszcze więcej ją kochać, lecz teraz, kiedy była samą, wszystko, co było celowe opuściło ją i, nie zważając na skutki, jakie niepohamowany gniew wywrzeć może na jej powierzchowność, poddała się mu zupełnie. Nie zeszła na lunch, lecz w porze herbacianej ukazała się w ogrodzie spokojna, lecz patetycznie znużona, z łagodnie zadumanemi oczami.

— Kiedy się udasz na dehabijah? — spytała Nigla, który zaniepokojony i skruszony wyszedł na jej spotkanie.

— Nie mam ochoty iść wcale, zostanę na herbacie z tobą.

— Nie, nie czyń tego, wolę pić dzisiaj herbatę sama — mówiła bardzo łagodnie, lecz jej oczy, jej ruchy, jej każde słowo go oskarżały.

— W takim razie pójdę — rzekł — jeżeli wolisz — spuścił oczy — ludzie Barondi'ego przyszli już po mnie.

— Słyszałam ich śpiew z mego pokoju; spiesz się, niech nie czekają — przy ostatnich słowach, zdawała się czynić wysiłek, starając się o lekki, mentorski ton, pięknej, światowej kobiety, do mężczyzny, który ją uwielbia, lecz pozwoliła swym wargom drżeć tak, żeby mógł poznać, że odgrywa rolę. Nie śmiejąc jej powiedzieć, że to widzi, zeszedł na brzeg Nilu, wstąpił w oczekującą go felukę i popłynął.

Jak tylko odszedł, Mrs. Armine zawołała Ibrahima i kazała mu postawić krzesło i stolik w cieniu, pod murem.

— Będę piła herbatę, tutaj, Ibrahim — rzekła — powiedz Hassanowi, żeby ją przyniósł jak tylko słońce zacznie zachodzić.

— Natychmiast — odpowiedział zawsze młody i wesoły służący — a Ibrahim czy może wrócić i pozostać z panią?

Wstrząsnęła głową, patrząc z dobrocią na chłopca, który prędko nauczył się ją uwielbiać na równi ze wszystkimi Nubijczykami w willi.

— Nie dzisiaj, Ibrahim, dzisiaj pragnę być samą.

Pochylił swą długą i cienką postać i odrzekł poważnie:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Zaznaczyłem w poprzedniej kronice, że, zanim się ona dostanie do rąk Czytelników, pokój będzie już zapewne zawarty, gdyż panu Joffemu zależy na pośpiechu, pokazuje się przecież, że się częściowo pomyliłem. We środę dnia 6. października podpisali wprawdzie obaj przewodniczący delegacyi pokojowych protokół przedwstępny, co jest dowodem, że obie strony doszły nareszcie do porozumienia, dalszy ciąg jednak, to jest podpisanie właściwego rozejmu i preliminaryów pokojowych, odłożono na piątek, dnia 8. października.

„W piątek dobry początek"... powiada stare przysłowie, miejmy więc nadzieję, że sprawa tak przez wszystkich upragnionego pokoju jest już na dobrej drodze. Po dokonaniu tak doniosłego dzieła zasiadł pan Adolf, syn Abrahama, Joffe do szabasowej rybki i spożył ją z pewnością z apetytem, zadowolony ze siebie w zupełności.

Niestety, kronikarz swą tygodniową pracę zaczyna też w piątek, nie może więc powiedzieć, nie będąc prorokiem, czy tymczasem nie wyłonią się znów jakieś trudności, które mogłyby wpłynąć na odwleczenie sprawy.

Zdaje się przecież, że wszystko pójdzie pomyślnie aż do końca, a każą to wnosić różne nadzwyczajne znaki, widziane w tym czasie na ziemi i na niebie, co zapowiada zwykle jakieś ważne zdarzenie n. p. koniec świata, w tym wypadku zaś koniec wojny.

A do tych znaków zaliczam przybycie do Krakowa w jednym tygodniu aż pięciu ministrów i trzech „wice", pojawienie się w żywieckich lasach w ogromnej ilości grzybów i poziomek, proces Taszyckiej i Grodzkiego, gwałtowne oziębienie się temperatury i wiosenne wiatry, nowe podwyższenie cen, które są już w samej rzeczy m a k s y m a l n e, i t. d. W tym tygodniu zauważono nadto, że w jednym z numerów „Kuryerka" nie było wymyślania na Daszyńskiego i Grabskiego.

Coś zatem wisi w powietrzu!... Ale co?... Każdy z nas naturalnie sądzi, że pokój i radby się go doczekać.

Tego samego zdania jest i głodujący burmistrz irlandzki z Corku, który dotąd nie umarł tylko dlatego, aby się przekonać, jaki obrót wezmą rokowania w Rydze. Swoją drogą trzeba mu przyznać, że zdobył rekord światowy, pobijając nawet słynnego głodomora-artystę, Succi'ego.

Prasa angielska, a za nią i cała europejska zastanawia się nad tem, czy Mac Sviney naprawdę nic nie je, czy też łyknie sobie coś od czasu do czasu, gdy nikt nań nie patrzy. Nie może się to Anglikom, przyzwyczajonym do obżarstwa, pomieścić w głowie, jak można tak długo odmawiać sobie tej przyjemności, za jaką uważają jedzenie. Sądzę, że postępuje on tak, jak nasi czynni członkowie Eleuteryi, którzy publicznie rzucają gromy na alkohol, a w czterech ścianach swego domu lubią od czasu do czasu pociągnąć z flaszeczki, wychodząc z zasady, że to dar Boży, nie powinno się go zatem marnować.

Mac Sviney żyje zatem, dotąd bowiem o jego śmierci nie czytaliśmy, czy zaś je, to już jego tajemnica.

Jakie to jednak różne życie prowadzą prezydenci!... Mac Sviney od szeregu tygodni nie je regularnie nic, a prezydent Wilson z pozazdroszczenia godną regularnością objada się stale codziennie i ta właśnie „regularność", jak zapewnia „Kuryer", utrzymuje go przy siłach.

Że jest tak, a nie inaczej, można wierzyć. Kto na pierwsze śniadanie pije kawę, gotowaną na mleku, je smażone mięso i smażoną rybę, odpowiednią ilość kompotów, białego chleba z masłem, a na zakończenie pije jeszcze herbatę ze śmietanką, ten, choćby nie chciał, musi mieć siły. A do tego przychodzi jeszcze drugie śniadanie, obiad i t. d., z również urozmaiconym programem.

Czytając podobny spis, mimowoli wzdycha każdy: „Ach!... Czemuż ja nie jestem prezydentem Wilsonem!"... i chętnie zainstalowałby się, jako jego następca w Białym Domu w Waszyngtonie.

Kronikarz, porównując swą dolę z życiem pana prezydenta, gdy rano pije gorzką herbatkę i zagryza kawałkiem suchego chleba, przychodzi do przekonania, że byłoby lepiej, gdyby na świecie panowała jedność i równość, choćby tylko na polu jedzenia. Dla samego takiego pierwszego śniadania warto się przenieść do Ameryki, gdzie widocznie obżarstwo nie jest umieszczone na liście grzechów głównych.

Zbyt mnie jednak daleko uniosła kronikarska fantazya i... apetyt, bo przez Londyn aż do Ameryki, a ja właściwie chciałem jechać do Rygi. Że tam nie pojechałem w ścisłem tego słowa znaczeniu, ale przeniosłem się jedynie tylko duchem, może to i lepiej. Nie naraziłem się na niewygody podróży i na wydatki, a, jak się pokazuje, obeszło się bezemnie. A mogłem tam nawet umrzeć, jak naprzykład Poliwanow, choć w śmierć jego nie wierzę. Dawno już opłakałem Brusiłowa, życząc, aby mu światłość wiekuista świeciła kolorowemi latarniami i na cóż się to zdało?... Żyje, jest zdrów i nawet przystał do bolszewików.

Otóż w owej Rydze, gdzie już podobno osiągnięto zgodę, z początku nie było tak wesoło. Delegacya rosyjska nie traciła nadziei, że Trocki zbierze do kupy rozbitą armię i wybierze się z powrotem pod Warszawę, miała też miny bardzo seryo (z czem im jednak było nie do twarzy!...), zwlóczyła z ostatecznem rozstrzygnięciem i stawiała coraz to inne warunki, ale zawsze takie, aby się Polacy na nie zgodzić nie mogli, a tem samem, aby na nich spadła wina, jeśli nie dojdzie do porozumienia. W miarę jednak, jak sytuacya na froncie stawała się dla Rosyi sowieckiej coraz niepomyślniejsza, jak nie udało się z Litwinami, zaczęły sowieckim delegatom rzednąć miny, a nosy ich coraz bardziej się wydłużać, co tem łatwiej wpadało w oko, ile że, jako należący przeważnie do rasy semickiej, ozdobieni są z natury już potężnymi organami węchu. Ponadto Wrangel na południu nie żartuje, wewnątrz kraju rozpala się coraz bardziej antibolszewicka rewolucya, podobno nawet Budiennyj skrewił... Źle zatem i to na całej linii, nie pomogą nawet słowa otuchy ze strony Lloyd George'a.

Ostatnim fajerwerkiem było wysunięcie na porządek dzienny sprawy Galicyi wschodniej, co się przecież nie udało. Trzeba było zrzucić pychę z serca, powiedzieć sobie, że się już nie doczeka wkroczenia Trockiego do Warszawy jako zwycięzcy, i przyjąć rękę, wyciągniętą szczerze do zgody. Delikatny rozum pana Joffego poznał, że niema innej drogi wyjścia, zwłaszcza że Polacy, choć są górą, nie żądają zbyt wielkiego upokorzenia przeciwnika. Rosya, dyktując swe warunki w Mińsku, gdy Trocki spieszył się pod Warszawę, postępowała zupełnie inaczej. Trzeba zatem skorzystać ze sposobności, aby Polacy się przypadkiem nie rozmyślili i nie postawili innych warunków.

I stało się, że w dniu 6. października podpisano protokół wstępny, a dalszy ciąg i ostateczne załatwienie odłożono na piątek, 8. października.

Gdy ta kronika ujrzy światło dzienne, będzie już zapewne wszystko w porządku, choć, dzięki właśnie owym silnym wiatrom, jakie w obecnych czasach panują, chorągiewka może się bardzo łatwo odwrócić!... Jest to zresztą dopiero pierwszy akt dramatu dziejowego, mającego być zakończeniem całej seryi podobnych, w których losy kazały mu wziąć osobisty udział.

Z sowietami dochodzimy zatem do porozumienia, z Litwinami, zdaje się, także. Pozbędziemy się wprawdzie dwu bardzo bolesnych czyraków, które nam tak dokuczają, zostaną przecież inne: czeski, ukraiński i niemiecki... A każdy z nich ulokował się na innej części ciała i ani rusz usunąć się dobrowolnie. Koniecznie żąda, aby się doń zabrał chirurg z lancetem w dłoni...

A choćbyśmy nawet i ich się pozbyli w dobry sposób, to jeszcze nie koniec. Zanim się zabierzemy do robienia porządków wewnątrz kraju i wymiatania śmieci niepotrzebnych, trzeba ciągle od zewnątrz mieć się na baczności. Żadne traktaty pokojowe nic nie znaczą, o ile ich nie poprze siła, aby się spełniło zdanie łacińskiego filozofa, który powiedział *si vis pacem, para bellum.*

A, że my chcemy naprawdę pokoju, musimy być każdej chwili przygotowani do wojny. W ten sposób zdobędziemy sobie i szacunek sąsiadów, którzy lekceważą sobie słabych i nie liczą się z ich najsłuszniejszemi prawami.

Wysiłki nasze nie skończyły się więc jeszcze, w każdym razie świta nam już jutrzenka pokoju i to jaśniej, niż kiedykolwiek przedtem, a do tego mamy to wewnętrzne zadowolenie, że to co się stało, mamy zawdzięczać nikomu innemu tylko samym sobie. Przyjaciół mieliśmy wprawdzie wielu, ale też, właśnie dzięki temu, niewiele brakowało, aby „wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły". Pokrwawiły sobie na nas pyski i może dadzą nam na przyszłość spokój, a w ich ślady pójdą i inne, gotowe już do skoku, bojąc się, aby i je podobny los nie spotkał.

Dałby Bóg, aby ta kronika była pierwszą naprawdę pokojową i aby kronikarz raz na zawsze mógł z Marsem wziąć rozbrat.

Myliłby się przecież, kto chciałby sądzić, że dzięki pokojowi odetchniemy pod względem ekonomicznym, że ceny towarów spadną, a z Rosyi dostaniemy moc różnego rodzaju surowców, do których tak cała Europa wzdycha.

Możemy być pewni, że stamtąd nie przyjdzie nic, prócz agitacyi bolszewickiej i innej zarazy, bo, jak zgodnie stwierdzają ci, którzy w tych czasach z Rosyi wrócili i na tamtejsze stosunki patrzeli własnemi oczyma, dzięki b ł o g o s ł a w i o n e j gospodarce komunistów panuje w całym kraju ostateczna nędza i najzupełniejszy zastój przemysłowy. Wieśniak sieje tyle tylko zboża, by mu wystarczyło na jego własne potrzeby, robotnik nie bardzo się kwapi do pracy, która mu nie przynosi spodziewanych korzyści. Pracować zaś dla innych, aby oni zbijali majątek, i wywozili go za granicę, nikt nie ma ochoty.

Dowóz więc z Rosyi sytuacyi u nas nie poprawi, pogorszy ją natomiast, i to bardzo wybitnie, wywóz od nas. Spekulanci nasi już od dłuższego czasu w oczekiwaniu pokoju magazynowali różne towary, bez których my się musimy obchodzić, aby je przy pierwszej sposobności wywieść do Rosyi, gdzie je będzie można sprzedać na wagę złota i to prawdziwego! Pojawiały się wprawdzie w prasie ostrzeżenia, że bolszewicy fałszują złoto, ale mimo to jest na nie aż zawiele odbiorców. Całem ich marzeniem jest handel z Rosyą i oni to najgłośniej krzyczeli, że pokój musi się zawrzeć za każdą cenę. W Warszawie wpadły już władze na ślad takich magazynów towarów przeznaczonych na eksport do Rosyi, znalazłoby się ich niewątpliwie dość i w Krakowie, gdyby tylko chciano i umiano szukać.

Gdybyśmy byli krajem należycie zagospodarowanym, mającym dla siebie dość i mogącym nadmiar produkcyi odstąpić tym, którzy mają mniej, stalibyśmy, dzięki zawitanemu pokojowi, w przededniu podniesienia się naszego handlu i przemysłu, w tych natomiast warunkach, w jakich żyjemy, właśnie ten pokój będzie powodem jeszcze większej nędzy i braków.

Jest też obowiązkiem władz, aby na to baczną zwróciły uwagę. Jednostki wprawdzie się zbogacą, ale jaki z tego dla państwa pożytek, skoro właśnie one trzymają się zawsze zdala od wszelkich świadczeń obywatelskich.

Musimy się zatem przygotować na nową zwyżkę cen, które, choć już osiągnęły taką wysokość, o jakiej się nikomu nawet nie śniło, okazują stale tendencyę zwyżkową.

I jak tu żyć w takich warunkach, o ile się jest skazanym na stałe dochody. Na oko ma się może i dużo pieniędzy, w rezultacie przecież nie wystarczy to na pokrycie najniezbędniejszych wydatków.

Jak małą wartość ma obecnie pieniądz, niech posłuży jako przykład następujące zestawienie:

Spotkał onegdaj kronikarz jednego ze swych znajomych, który się ogromnie radował, że jest posiadaczem sześciu tysięcy marek w gotowiźnie i rozmyślał nad tem, co też ma za nie kupić. Ale kombinacye nie szły tak raźno... Pokazało się, że jeżeli kupi trzewiki, nie wystarczy na ubranie, jeżeli zaś je sprawi, będzie musiał przez cały miesiąc bawić się w burmistrza z Corku, to jest urządzać głodówkę, w tym wypadku przymusową.

Chcąc go pocieszyć, a raczej przekonać, że właściwie to on nie ma wcale pieniędzy, które pozwoliłyby mu na jakieś nadzwyczajne wydatki, zwrócił kronikarz jego uwagę, że mając sześć tysięcy marek, może kupić trzy tysiące pudełek zapałek, za które przed wojną byłby zapłacił okrągło t r z y d z i e ś c i k o r o n. Ma zatem nie sześć tysięcy marek, ale trzydzieści koron...

Jakoś mu się to nie mogło pomieścić w głowie, ostatecznie przecież musiał przyznać racyę, dochodząc do przekonania, że za te swoje tysiące dziś i tego nie kupi, co mógłby przed wojną dostać za trzydzieści koron. Dawniej płaciło się w pierwszorzędnej restauracyi trzydzieści do pięćdziesięciu centów za pieczeń i narzekało się na drożyznę, dziś trzeba na to wydać trzydzieści marek.

Biedni ludziska radzą sobie w tej biedzie jak mogą, a wiadomo, że bieda uczy wynalazków.

Znamy wypadek, że pewien ojciec rodziny, urzędnik szóstej rangi, nie mogąc podołać wydatkom na utrzymanie domu, musiał się chwycić niewinnego podstępu, aby ratować swą kieszeń. Zaprowadził więc zwyczaj, że każdy z członków rodziny, o ile się zrzeknie kolacyi, otrzymuje markę gotówką, którzy się naturalnie godzą na to i idą spać wprawdzie głodni, ale z marką w kieszeni. Nazajutrz rano, kto chce dostać kawałek chleba do herbaty, musi zapłacić markę... Wracają zatem marki do jego kieszeni, bo trudno o samej herbacie dotrzymać do tak zwanego obiadu. W każdym razie oszczędził wydatków na kolacyę.

Obecnie, po zawarciu pokoju, łamie sobie nad tem głowę, czy nie możnaby tej metody zastosować w jeszcze szerszym zakresie, doszedł bowiem do przekonania, że jego pobory starczą na skromne utrzymanie zaledwie do dwudziestego, miesiąc zaś ma, jak wiadomo, dni trzydzieści. Ale mu trudno będzie coś wymyśleć!...



W sprawie monopolu tytoniowego: Sala wyrobu cygar.

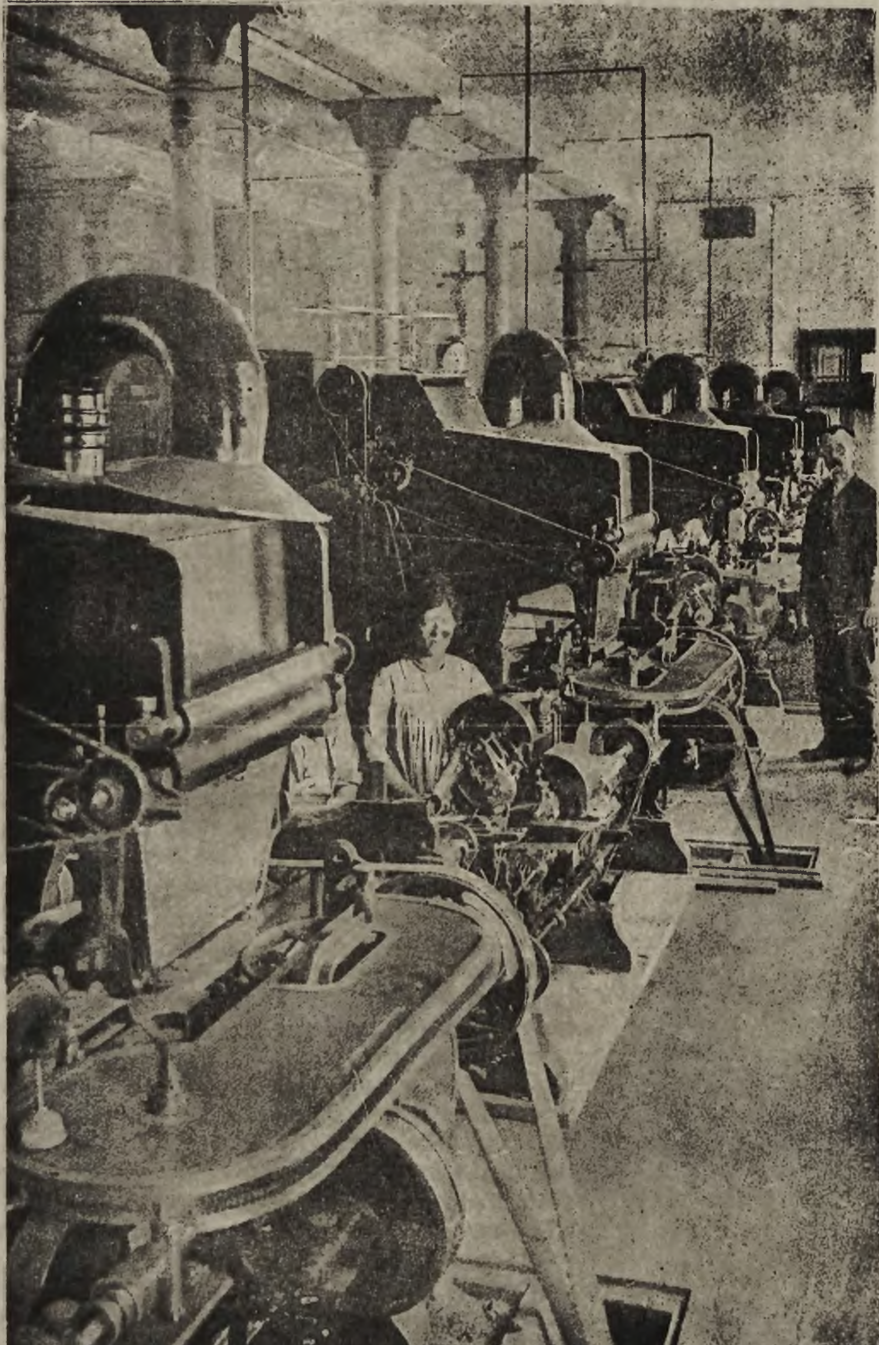
W sprawie monopolu tytoniowego.

Przed wojną rzuciły liczne stowarzyszenia i związki hasło spolszczenia miast, spolszczenia handlu i przemysłu. Wysłano w świat wiele odezw, artykułów i broszur. Krzyk jednak przebrzmiał bez skutku i sprawdziło się przysłowie: *verba volant*. Jak w wielu innych wypadkach brak nam w tej sprawie systemu bogatego w myśl, a ubogiego w słowa.

W splocie tych zjawisk ma swe poważne miejsce monopol tytoniowy.

W spadku po monopolu austryackim otrzymała Polska 5 rządowych fabryk, 1 urząd wykupu i 8 urzędów sprzedaży tytoniu, w których pracowało 69 urzędników przeważnie obcej narodowości. Do służby polskiej przeszło 30 urzędników, 48 werkmistrzów i 5187 robotników polskich. W roku 1913 fabryki te dostarczyły 64.132·2 q gotowych wyrobów tytoniowych wartości ówczesnej 55,281.956·2 koron i przyniosły Austryi 46 676 931 koron dochodu.

Ale monopol austryacki pozostawił także Polsce z pełnem dobrodziejstwem inwentarza 525 składowników i 15.3:4 trafikantów, przeważnie żydów, których obrót w roku 1913 wynosił 44 914 489 koron, a wojna dodała do tego w czasie austryackiej okupacyi w Królestwie kilka tysięcy żydowskich handlarzy tytoniu.



W sprawie monopolu tytoniowego: Maszynowy wyrób papierosów.

W Polsce mało zastanawia się nad tem, jak jak ważną placówką nietylko gospodarczą, lecz także społeczno polityczną jest monopol tytoniu. Przedewszystkiem skarbowi państwa przynieść może jedynie monopol najwyższe dochody; przemysł ten bowiem pozwala na bardzo elastyczną kalkulacyę i jeśli w roku 19 3 przyniósł Austryi 197·85% dochodu w stosunku do włożonego kapitału, to obecnie przy najgorszej konjunkturze można to samo osiągnąć. Prawdę tę zrozumiała Rzesza niemiecka, Włochy, Francya, Japonia i inne państwa, a tylko narody słabe politycznie i gospodarczo, jak Turcya, wydzierżawiały dochody tego źródła obcym.

Nietylko dlatego, że przemysł tytoniowy daje dochód łatwy, osiągalny przy małym nakładzie kapitału i sił, lecz przedewszystkiem dlatego, że wiąże właściciela z kilku tysiącami robotników i kilkudziesięciu tysiącami rolników, uprawiających tytoń, że posiada swe agencye w najmniejszej wiosce i osadzie, że pozostaje w ścisłym stosunku do przemysłu i handlu innych gałęzi — należy wołać o poważne zastanowienie się nad tą sprawą.

Wolny handel uszczupli dochody państwa. Wpływy z opłat podatków tytoniowych pochłonie administracya, gdyż kontrola skarbowa wymagać będzie bardzo licznego następu sił, które w wielu wypadkach zarażone będą na pokusy ze strony przemysłowców i handlarzy.

Dla państwa nie jest też obojętnem, pod czyj wpływ oddaje kilkadziesiąt tysięcy rolników i robotników tytoniowych. Austrya to rozumiała bardzo dobrze i przy pomocy monopolu budowała skutecznie Ukrainę we wschodniej Małopolsce, a dzisiaj jak słyszymy, likwiduje się fabryki wschodnie ciekawe w czyim interesie. Gdy w Polsce powstaną tysiące tytoniowych gniazd przemysłowych i handlowych w obcych rękach, to wpływ ich opóźni niebywale uzdrowienie stosunków gospodarczych w państwie, choćby dlatego, że tytoń podobnie jak alkohol utwierdza obcy, radykalny wpływ na wsi i w centrach przemysłowych, a gdy tę gałęź pracy opanują obce żywioły, to skorzysta na tem przemysł i handel niemiecki, a ucierpi zaś polski.

Także ze względów zdrowotnych nie należy tego przemysłu powierzać obcym żywiołom. Tytoń nieodpowiedniego gatunku jest podobnie szkodliwym, jak alkohol, wywołuje różne choroby, osłabia fizycznie i moralnie. Sprawę tę zbadał dokładnie dr Kitzling i pobudował liczne szpitale dla zatrutych złym tytoniem. Przemysł bowiem prywatny usiłuje osiągnąć jak najwyższe zyski ze swego przedsiębiorstwa i bez względu na potrzeby i zdrowie konsumenta używa dla produkcyi tytoniu najtańszego, źle przefermentowanego i niedojrzałego, a często jako przymieszki różnych środków zastępczych. Kto pali obecnie wyroby tak rządowe, jak też różne sprowadzane tytonie amerykańskie, bułgarskie, szwajcarskie i rumuńskie, przyzna słuszność temu twierdzeniu.

Niestety sprawę monopolu tytoniu traktuje się u nas bardzo powierzchownie. U władz rządowych panuje przekonanie, że przemysł ten nie wymaga wcale zawodowych wiadomości i usunięto zawodowe, praktycznie i teoretycznie wykształcone siły od pracy i wpływu w tej dziedzinie. Gdy się zważy, że w każdym wypadku czy monopol będzie uchwalony lub nie — w pierwszym wypadku budować się będzie lub wykupywać prywatne przedsiębiorstwa kosztem wielu setek milionów, a w drugim wypadku likwidować rządowe zakłady — to łatwo zrozumieć, że



Zamach na bank Morgana w Nowym Jorku:
Ofiary wybuchu przed wejściem do banku.

sprawę tę powierzyć należy zawodowcom-Polakom. Przecież w czasie dwu lat niezawisłości Polski monopol tytoniowy zakupywał za drogie pieniądze miliony papierosów szwajcarskich, bułgarskich, amerykańskich i innych za granicą, a zbojkotował wyroby wielkopolskie mimo ich lepszej jakości i krajowego pochodzenia. Co będzie, gdy ten sam system uchowa się przy organizowaniu względnie likwidacyi monopolu? Przecież do dzisiaj handel tytoniem i wszelkie dostawy dla monopolu spoczywają w ręku obcym.

Jeśli państwo polskie pragnie dźwignąć polski przemysł i handel, dostarczyć pracy polskim pracownikom umysłowym i fizycznym, to jak najrychlej powinno zreorganizować pracę w tej dziedzinie, powierzyć siłom zawodowym z odpowiedniem wykształceniem i drogą ustawy zabezpieczyć osiągnięcie powyższego celu.

Dr Julian Skulski.

Ekspozytura Urzędu Propagandy Pożyczki państwowej w Krakowie.

L. 15751.

Podpisywanie długoterminowej Pożyczki państwowej z r. 1920, zostało przedłużone do 31. października 1920.

Pożyczka długoterminowa uwalnia w odpowiednim stopniu od pożyczki przymusowej.

Dyrektor: **Wincenty Sikora.**

Zamach na bank Morgana w Nowym Jorku.

W dniu 16. września b. r. był Nowy Jork widownią strasznego zamachu, który wyrządził milionowe szkody, pociągnął za sobą śmierć kilkudziesięciu osób.

Około godziny 3 popołudniu przed bankiem Pierponta Morgana przy Wallstreet nastąpiła eksplozya, jak pierwotnie przypuszczano bomby, rzuconej przez kilka nieznanych osób, które w automobilu przybyły przed budynek bankowy i następnie oddaliły się w niewiadomym kierunku. W tym czasie w banku panował ruch bardzo ożywiony, na Walstreet znajdowały się tysiące ludności. Skutkiem wybuchu poniosło śmierć kilkadziesiąt osób, kilkaset odniosło lżejsze i cięższe rany, fasada budynku bankowego ucierpiała znacznie, a w sąsiadujących z bankiem „drapaczach chmur“ wyleciały wszystkie prawie szyby.

W pierwszej chwili przypuszczano, że zamach był dziełem irlandzkich sinfeinistów, którzy w ten sposób chcieli okazać swą nienawiść do Anglii, pozostającej z bankiem Morgana w ściślejszych finansowych stosunkach. Że zamach ten był planowany, stwierdziło śledztwo, które wykazało, iż wiele osób otrzymało przedtem bezimienne ostrzeżenia, aby w dniu tym i o tej godzinie miały się na baczności. I tak członek francuskiej misyi pułkownik Arnaud, którego biuro znajduje się tuż przy placu, na którym dokonano zamachu, otrzymał rano w dzień zamachu list, radzący członkom misyi, aby, jeżeli im życie miłe, opuścili popołudniu biuro, gdyż o 3 ciej nastąpi na Wallstreet katastrofa. W liście tym powiedziano między innemi „pewne osoby zagniewane zamierzają się zemścić“.

Listy ostrzegawcze pochodziły z Toronto, wobec czego policya przypuszczała, że sprawcami zamachu byli ekstremiści, a główne podejrzenie skierowało się na niejakiego komunistę Fiscera, który w nocy z dnia 15 na 16 września opuścił Toronto, a przedtem wyrażał się, że na Wallstreet w Nowym Jorku mieszka wielu „milionerów i ci muszą śmierć ponieść“.

Ostatecznie stwierdzono, że o godz. 2 popołudniu, w chwili, gdy dzielnica, w której bank się znajdował, wrzała wytężonym ruchem, gdy w gmachu banku znajdowało się tysiące klientów — do gmachu tego podjechał samochód, z którego wysiadło troje osób i szybko od niego zaczęło się oddalić. W samochodzie tym znajdował się niezmiernie silny ładunek pyroksyliny, oraz mechanizm zegarkowy, ustawiony celem wywołania wybuchu.

Gdy po wybuchu nadbiegła pomoc, znaleziono na miejscu katastrofy 37 trupów i około 300 osób mniej lub więcej ciężko rannych.

W chwili wybuchu z podziemnych kas banku wywożono właśnie większą ilość złota, mianowicie 1,800.000 dolarów w złocie. Wywożeniem tego złota i ładowaniem go do specyalnego samochodu zajmowało się 7 robotników. Wszyscy oni zostali zabici na miejscu, natomiast złota nikt nie zrabował i zostało ono znalezione w całości. I tylko dwie skrzynie, w których złoto było zapakowane, pod siłą wybuchu pękły i kilkaset monet potoczyło się po ulicy.

O przyczynach i sprawcach zamachu krążą po Nowym Jorku najbardziej fantastyczne pogłoski. Najbardziej prawdopodobną jest jednak wersya, że zamach dokonany został przez bandę niepoczytalnych anarchistów. Wskazywałoby to na aresztowanie niejakiego Fisnera, autora listów ostrzegających o zamachu, który uznany został za niepoczytalnego i osadzony w zakładzie dla obłąkanych.

Wedle dzienników władze obawiają się, że nastąpi cały szereg podobnych zamachów, tak jak to miało miejsce przed dwoma laty.



Zamach na bank Morgana w Nowym Jorku. Akcya ratunkowa na miejscu katastrofy.

Na potrzeby armii.

Zaopatrywanie naszej armii w najniezbędniejszy materyał, połączone jest z ogromnemi trudnościami. Prawie wszystko trzeba sprowadzać z zagranicy, która sprzedaje bardzo chętnie, ale każe sobie płacić wprost bajońskie sumy i to ze względu na niski stan naszej waluty, nie gotówką, lecz różnego rodzaju produktami, bez których potem sami musimy się obywać!

Na tem przecież nie koniec. Materyał zakupiony. Trzeba go zatem przewieść do kraju, a i to nie przychodzi z łatwością, gdyż sąsiedzi nasi przestrzegają bardzo pilnie neutralności, jaką ogłosili na korzyść sowieckiej Rosyi, a na szkodę Polski.

Armia potrzebuje bardzo wiele, a chcąc przy jej pomocy osiągnąć spodziewane rezultaty, nie można jej niczego odmówić.

Jedną z bardzo dokuczliwych bolączek jest za opatrzenie armii w materyał pociągowy. Prawda, że różnego rodzaju środki mechaniczne, jak wozy motorowe itp. ułatwiły sytuacyę, mimo to zapotrzebowanie koni jest bardzo wielkie, a zaopatrzenie się w nie bardzo utrudnione po bezwzględnych rekwizycyach tak wojsk austryackich jak obcych. Brak koni stoi też w ścisłym związku z upadkiem rolnictwa w naszym kraju, pod względem zniszczenia inwentarza żywego, cierpiącym wiele od lat szczęściu. Świadczy o tem cena, jaką trzeba zapłacić



Na potrzeby armii: Komisya poborowa koni podczas urzędowania w Jaryczowie Nowym (Wschod. Małopolska). Przew. komisyi kap. Lekczyński (1), por. Braun, Dr weteryn. (2), podpor. Zangen (3) Z ramienia władz cyw.: sekr. Nam. p. Puchalski, ref. roln. p. Ogrodziński i lekarz weter. p. Weigel.

za bardzo nawet lichego „chetta“. Za konia, który dawniej kosztował kilkaset koron, trzeba dziś zapłacić kilkadziesiąt tysięcy marek i jeszcze się cieszyć, że się go dostało.

Pod tym względem ma też armia dużo kłopotu,



Z teatru „Bagatela“: Julia Elsner, b. artystka sceny warsz.

choć przeprowadza rekwizycye. Ale, aby można brać, trzeba, aby było co do brania, a aby nie było, oto się już postarali poprzednicy. Musi się nadto uwzględnić żywotne interesy rolnika i przemysłowca i ostatniej sztuki mu się nie zabiera, by gospodarstwo fizycznie na tem nie ucierpiało.

I trzeba przyznać, władze nasze wojskowe postępują pod tym względem bardzo lojalnie wobec ludności cywilnej, uwzględniając najdalej idące zapotrzebowanie, których lekceważenie spowodowałoby szkodę przy zaspakajaniu innych potrzeb armii. Rolnicy nasi pod tym względem nie mogą narzekać, spotykając się stale z daleko posuniętą wyrozumiałością władz wojskowych. Na odwrót i komisye poborowe znajdują wszędzie wiele dowodów zrozumienia państwowej potrzeby. Ludność wschodniej części Małopolski, tak zniszczonej przez wojnę, bardzo chętnie oddaje swe konie na użytek armii.

Illustracya nasza przedstawia urzędowanie komisyi poborowej w Jaryczowie Nowym.

Z teatru „Bagatela“.

Służba dla Sztuki jest piękną i zaszczytną, ale, trzeba przyznać, i bardzo niewdzięczną. Żaden zawód nie jest narażony u nas na tyle nieuzasadnionej i nieuzasadnionej krytyki, jak ci, którzy się jej poświęcili. Mawiał swojego czasu ś. p. Stańczyk, że na świecie jest najwięcej lekarzy, widzimy przecież, że się pomylił, gdyż najwięcej jest krytyków i to najczęściej takich, którzy o tem nie mają pojęcia, w czem głos zabierają. Dowodem jest choćby ów szewc, który krytykował obrazy Apollina.

Ale i ci zawodowi krytycy, to jest tak zwani „znawcy“, to ludzie, których trudno zadowolić. Dziewięciu z nich zgodzi się, że coś jest piękne, przyjdzie dziesiąty i odsądzi artystę od czci i wiary.

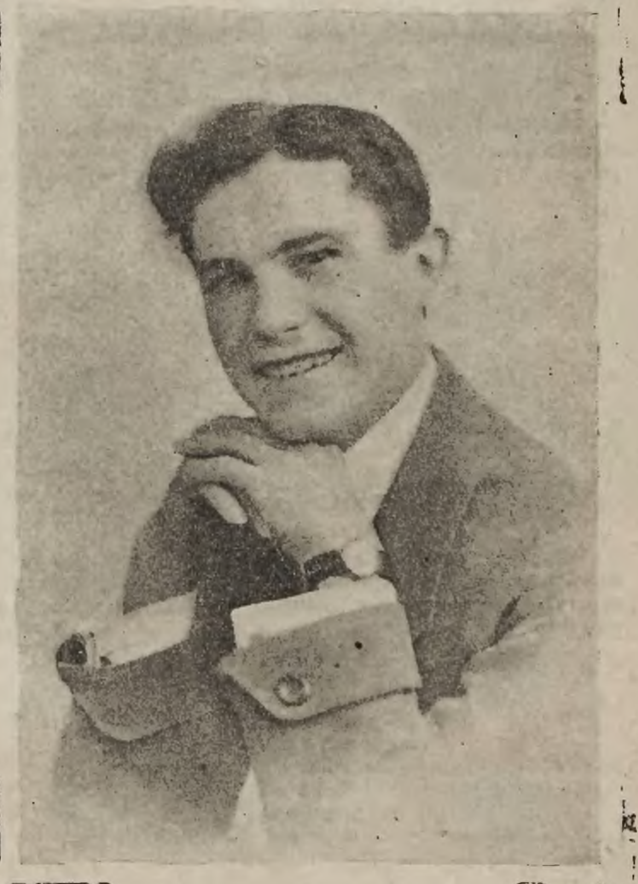
W takiem położeniu znajduje się i dziatwa Melpomeny, że wszystkich może służących Sztuce narażona najbardziej na ostrze krytyki.

Są jednak i w jej gronie szczęśliwcy, którym udało się zadowolić nie tylko owych dziewięciu wymagających krytyków, ale nawet i tego najsurowszego, dziesiątego. Do ich rodziny zaliczyć należy parę artystów krakowskiej „Bagateli, których podobizny zamieszczamy w niniejszym numerze.

Zaś są obydwoje cennym nabytkiem dla naszej sceny, stwierdza to zgodnie krytyka i to tak stojąca blisko „Bagateli“, jak i w pewnem oddaleniu. Są nimi Julia Elsner i Stefan Bystrzyński.

Julia Elsner, b. artystka sceny warszawskiej i polskiego teatru w Moskwie, w latach wojny, zdobyła sobie wstępnym bojem w roli Heleny Laroche, w „Tajfunie“ Lengyela, uznanie krytyki i teatralnej publiczności. Świetelna gra, plastyka ruchów, prawdziwie artystyczna dykcya, oto zalety zdobiące tę artystkę.

Stefan Bystrzyński, choć młody wiekiem, należy bowiem do najmłodszych sił „Bagateli“, wykazuje taką sceniczną rutynę, iż patrząc na jego kreacye, może się niejednemu wydawać, że ma przed sobą artystę, który lata całe spędził na deskach teatralnych. Wszechstronny jego talent podziwiano w „Papierowym kochanku“, „Kobiecie bez skazy“, „Tajfunie“ itd. Opanowanie roli, wżycie się w intencye autora i subtelne wycieniowanie najdrobniejszych szczegółów odtwarzanej postaci, cechują wszystkie kreacye tego artysty. Krytyka przepowiada mu najświetniejszą przyszłość sceniczną.



Z teatru „Bagatela“: Stefan Bystrzyński artysta dram.



Na gruzach byłej Turcyi Uczestnicy aktu proklamacyi niezawisłego państwa Wielkiego Libanu w Bejrucie. W pośrodku rezydent francuski jenerał Gourand, po prawej stronie patryarcha Maronitów, po lewej wielki mufti.

„Józia — legionistka“.

W ostatnich czasach daje się u nas odczuwać silnie brak dobrych popularnych książek, które w formie beletrystycznych opowiadań przedstawiałyby barwnie i zajmująco wypadki współczesnego życia, tak bystrą obecnie toczących się falą. Żołnierz polski stał się ukochaniem społeczeństwa, ku niemu zwracają się wszystkie patryotycznie czujące serca. Każdy chciałby dowiedzieć się czegoś o tych żołnierzykach naszych, kiedy myślą złączyć się z nimi, przeczytać w jesienny czy zimowy wieczór coś o ich przygodach na froncie bojowym, na kwaterze, na urlopie, nanizać jasnej perły bohaterstwa na jedną nitkę z koralami czerwonemi jak róże miłości z błyszczącymi paciorkami żartu i humoru. Wydawnictwo „Opowiadań żołnierskich“ ma wypełnić tę lukę, a chcąc dawać społeczeństwu rzeczy prawdziwie wartościowe, zaprosiło do współpracownictwa wybitne pióra autorskie. Jako pierwszy zeszyt ukaże się pełne wdzięku opowiadanie p. t.: „Józia — legionistka“. Autorem tej noweli jest p. Adam Wzaryga-Miniewski, którego cykl powieści „Miłość i wojna“, drukowany w *Nowościach Illustrowanych*, tak wielkie wzbudził zainteresowanie, a „Józia — legionistka“ opowiada o dalszych losach sympatycznej bohaterki „Wojennego małżeństwa“.

Cena egzempl. 20 mrk., z przes. poczt. 22 mrk. Zamówienia przyjmuje Administr. „Nowości Illustrowanych“, Kraków XV, Kazimierza Wielkiego 95.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył J. Walicki, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego poety:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — — —
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Imię męskie, 3. Kraj w Europie, 4. Postać biblijna, 5. Dopływ Wisły, 6. Przyimek, 7. Samogłoska.

Przekładanka.

Ułożył J. Jaworski, Lwów.

Podane litery tak popostawiać, aby utworzyły wyrazy o pewnem znaczeniu. Początkowe i końcowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą dwa nazwiska jednego z bolszewickich polityków:

e k n r y
c a o z
e n s
a e i n n r
c e e h i n s t
a a f n o r
e i l
e e l t
d n ó w y

Grzebieniówka.

Ułożył J. Lasocki, Sandomierz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy imię i nazwisko jednego z królów polskich:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Wyspa w Azyi, 2. Część ciała, 3. Drogi kamień, 4. Wyżyna w Azyi, 5. Dopływ Wisły, 6. Duchowny machometański.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył L. M., Krosno.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Bierz buraki y barany.

Szarada.

Ułożył Jowialski z Krakowa.

Pierwsze — komu głód doskwiera,
Drugie — w domu, także w chacie,
Całość będzie w kalendarzu,
Jeśli dobrze poszukacie.

Zagadka literacka.

Ułożył J. Jasiński, Kraków.

Odgadnąć tytuły utworów podanych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko jednego z wybitniejszych bolszewików:

Niemcewicz ?
Kraszewski ?
Prus ?
Klonowicz ?
Żuławski ?

Kwadrat magiczny.

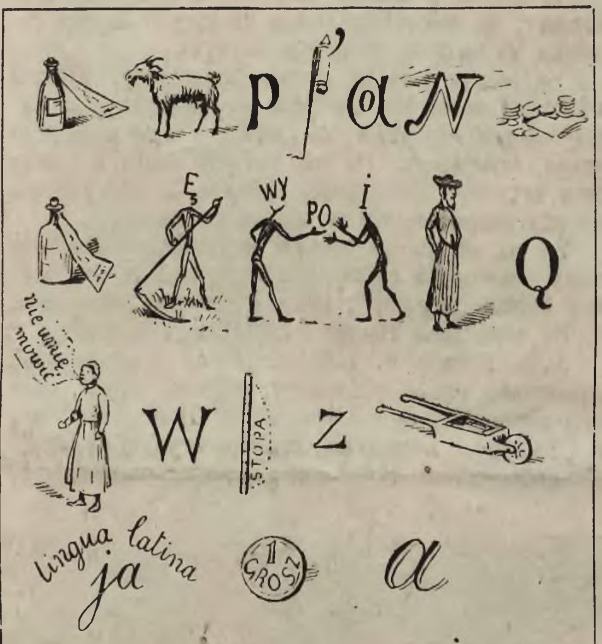
Ułożył J. Zasadzki, Sanok.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwę jednej ze stolic Europy:

■ ■ ■ ■ ■
— ■ — — —
— — ■ — —
— — — ■ —
— — — — ■

Znaczenie wyrazów: 1. Polski pamiętnikarz, 2. Naczynie ozdobne, 3. Herb polski, 4. Imię żeńskie, 5. Godło zbawienia.

REBUS.



Zgłoskówka.

Ułożyła W. Potocka, Kraków.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich tytuł jednej z nowości repertuaru krakowskiej „Bagateli".

Zaporoże, polica, łuna, Tenczynek, wojski, Pomorzany.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) W. Grabińskiego: „Rymy i proza" (Zbiorek utworów), 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 40.

Trójkąt magiczny: Giolitti, Irydyon, ogórek, Leman, Idzi, tur, ty, i.

Kwadrat magiczny: Wawel, Pasek, rower, Kazet, Karol.

Kwadrat magiczny: Safo, atom, foka, Omar.

Zadanie na rozsypane litery: Cicha woda brzegi rwie.

Okienko: Erazm, angor, marka.

Zadanie do przestawienia: Czas to pieniądz.

Przysłowiówka: 1) Zapomniał wół, jak cielęciem był, 2) Pokorne ciele dwie krowy ssie.

Rebus: Ludzie uczeni często wielkimi bywają oryginałami.

Zagadka literacka: Resurrecturi, Emancypantki, Jamioł, Treny, Anhelli, Nieboska komedya.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: A. Grabowski Wadowice, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwów, K. Bereżnicki Stanisławów, J. Sienkiewicz Warszawa, J. Martynowicz Lwów, M. Bodziński Kraków, J. Boczarski Lwów, M. Weryński Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków, S. Zajączkowski Rzeszów, K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, J. Winter Biała, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Dębska Kraków, W. Kaczyński Kraków, S. Nowacki Lwów, M. Kotowicz Kraków, H. Gąsiorowski Warszawa, J. Jabłoński Lublin, K. Lipski Wiedeń, K. Dębiński Jasło, M. Ogibińska Nowy Sącz, S. Sokołowski Kraków, W. Szczudłowski Jarosław, L. Gartner Rozwadów, J. Nowacki Lublin, R. Cieślicka Łódź, J. Martynowicz Kielce, M. Gross Wadowice, S. Bielecki Przemyśl, K. Kucharski Jasło, J. Kalinowski Poznań, W. Smiszkiewicz Milówka, J. Pateiski Kraków, M. Mańkowska Warszawa, S Sygowska Rzeszów, Tomaszewski Biała, M. Jasińska Lwów, S. Brodziński Kraków, W. Lasocki Kraków, S. Sokołowski Lwów, J. Jaworski Lwów, S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, S. Kowalski Kraków, K. Koźmiński Tarnów, M. Kuczyńska Warszawa, W. Witowska Warszawa, M. Lewińska Stanisławów M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, K. Grabski Jasło, D. Rosenbaum Rzeszów, J. Krajewski Kraków, H. Unger Lwów, M. Tyczyńska Sambor, M. Kamiński Zakopane, J. Meyer Lwów, M. Górecki Staszow, H. Osiowski Warszawa, M. Mańkowska Stryj.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) K. Bereżnicki Stanisławów (książka), 2) W. Witowska Warszawa (papier listowy) Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. 50 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.